

Teresa Lesiuk, Pyrzany

## **Saga(n) rodu Pelechów, czyli opowieść rodzinna Jaśkowej Teresy**

Przedstawiamy dziś opowieść unikatową – napisaną kresowym dialektem sagę rodziny Pelechów spod Złoczowa. W ich losach jak w soczewce ujrzymy wszystko, co spotykało Polaków w XX w. Emigracja za ocean i powrót. Walka o Niepodległą w Błękitnej Armii. Polowania w kresowych puszczech. Konspiracja akowska i walka z okupantami i banderowcami. Raid partyzancki pod dowództwem generała Kowpaka. Żałoba po zawiadomieniu o śmierci syna w walce z Niemcami i radość po jego odnalezieniu. Uwięzienie na Łąckiego we Lwowie i katorka w Gross Rosen. Zesłanie na Syberię i cudowne ocalenie po błagalnym liście do samego Stalina. Gorycz wysiedlenia. To wszystko losy tylko jednej kresowej rodziny...

Proszę usiąść wygodnie i posłuchać Jaśkowej Teresy...

*Trochu śmiesznu, trochu strasznu, trochu po naszemu wspominam rodzinę,  
co to z kresów przyszła i za kresy poszła.*

*Miły Gościu, siądź przy sąganie, a opowiem Tobie o Pelechach... same  
brechnie... jak to zwykle robię...*

*Jaśkowa Teresa*

Zapytał mnie Pan Bogusław Mykietów, czy mogłabym napisać coś o moim rodzie do kroniki kresowej... Nie wrywnie, w podskokach, lecz po namyśle – odpowiedziałam, że to zrobię...

Masz babu harbuz!

Po jakiemu prosta (taż ni garbata) baba ze wsi Pyrzany ma napisać (taż ni pisarka) coś o swoich Przodkach – łatwiej by jej o zadkach...

Wszystkich Ich zamknąć w tabelce, a komu to si przyda? Du czego?  
 Zamykać swoich bliskich – też ni ma mowy – ja nie!  
 Wymyśliłam sobie, że opowiem bajkę – hast du gewidział?  
 Był sobi Dziad.

Grzegorz Pełech, co si urodził dawnu, dawnu temu – 26 stycznia 1878 r. w chałupi Szymona i Agrypiny z Baryłów, mówili, ży od samego urodzenia on był biały jak len. Ja jegu zapamiętała białegu jak mliko.

Była sobi Baba.

Tekla Stojanowska i ona tyż si urodziła dawnu, dawnu temu – 6 listopada 1882 r. tyż w chałupi, no już inkszych ludzi, Sebastiana (Sobku jegu wołali) i Marii z Sawrasów. Zachodze w głowe, pu jakiemu to oni si poženili...

Babcia była zy takich szlachciców, co to si płotu trzymali – zagrodowe jich nazywali, a Dziadku był byz nazwiska, byz majątku – gołudupcy takich nazywali. No si zdarzyłu, Sobku wzioł za zięcia gołudupca, co to w majątku wniósł do domu rodzinnego Tekli pasiekę, krosna i strzelbę. Pobudował dziadku chałupinę w przyległej do Kozaków okolicy – lasek ją nazywali, a miejscowość była Trościaniec Mały. Podobno u Dziadków na stole zawdy stała syta, nie żeb si najeść du syta, a żeb si napić, bo tak nazywali wodę z mniodem. Babcina syta była duże dobra, często ją pijałam. Wiem od pana Antoniego Pająka, że na tym stole stawiał dziadzio nektar – mniodówka jegu nazywał i lubiał to-to wachać. Hodował pszczoły, tkął płótno i polował. Do posiadania ziemi nie przywiązywał żadnej wagi.

Za to babcia kupowała morgi – we krwi jich miała, zbierała zioła na likarstwa i witała na tym swieci ganc nowe dzieci – a jak jich chrzciała z wody, to jim mówiła:

*Witaj (Jasiu, Kasiu, Maryniu...) wśród ludzi, rośnij i idź swoją drogą, no pamiętaj, nie idź za prędko, bo dogonisz bidę, powoli tyż nie, bo bida ciebi dogoni, idź tak, jak ludzi idą – a beńdzi tobi dobrze.*

Tak sobi żyli Dziad i Baba, aż jakiś tam babciny wujku napisał, żeb przyjeżdżali du niegu... Gdzie? Mówili du Hameryki. Podszykuwali manatki, kupili bilety na statek i bez wielgą wodę ruszyli z trójką dzieci w cudze strony. Płynęli i płynęli naobkołu no woda taj woda i coś si kapitanowi tegu statku drogi pomy-

kiecili, bo wyszli na łód w Brazylii, gdzie czekał na nich wujko. Przyjechali do niego, on dał babci wielgi kawał lasu (tak śmiesznie ten las nazywali – dżungla) i tam się dziadziu pobudował.

Jak już mnieli chałupinę, dziadziu napytał robotę. Caluteńki dzień szedł pizski bez dżunglę do miejsca, gdzie szła budowa żelaznej kolei w kierunku San Paulo. Jak tam porobił chłopisko dwie niedziele, robił zakupy (kasze, mąka, cukier, sól, taj moży i jakiego bombona dzieciskam), pakował jich do mieszka, mieszek na plecy i znów pizski hulał w kierunku swojej chaty. Na plecach wór, na ramieniu strzelba, a w ręce maczeta, którą sobi przecinał drogę. Tak sobi chodził parę roków, no czy to prawda...

Zawdy do domu wracał, aż jedne go razu małpami się nie spodobał, że taki ktoś chodzi po jego terytorium, i zaczęli na niego rzucać suchymi patykami. Dziadziu do nich krzyczał, oni do niego, aż jakiś wielgi małp zaczął dziadka święcić. Po jakim? A po takim – nasusiał na niego. Tam dzie nasusiał – ten parszywy małp łął takim ciurkiem jak z konewki. O niedoczekanie twoje – pomyślał chłopina. Zdjął pukawkę z ramienia i łup w małpa. Jak ten zaczął wrzeszczeć, to nazbiegał się małp, jak na wesele i zaczęła się wojna chłopów z małpami.

Wybronił się jakoś, noc go zachapła, już jest chata, już, już. Pieska jego niebieska na lewo wykręcona, też to jakaś cudza chałupa, a na ganku tej chaty jakiś czarny czort macha reńką od siebie i krzyczy: wama, wama wama. Obrócił się dziad za siebie, idź na tył, a tu naraz jakieś dwa czarne jak noc czorty chapneli go i się cieszą. Jeden wziął worek, drugi dziadzia za pudpaszki i do chaty. Joj! Joj! W tej chałupi same negry, nijakiego białego. Przyjeli dziadzia jak czekanego gościa, nakarmili, przenocowali, a na drugi dzień do domu. Zabił negr kabana, pół na konia, na drugiego konia dziadziu z workiem, a negr pizski pierszego konia prowadził. Tak zaczęła się znajomość białych z czarnymi. Byli oni fest bugaty – chcieli nawet kupić wujka Michała i wyhodować go sobi na pana, bo mówili, że czarnoskóry tam nie ma prawa być panem. Michała nie pohandlowali, a z sąsiadami się zaprzyjaźnili.

Kiedyś był szedł sobi dziadziu przez dżunglę do domu, a z drzewa na niego jakiś wielgi kot, nie kot pryca, parska i szykuje się na dziadka skoknąć. Pif i już

kocur w odwrocie, zawinoł si nazad i na raz zawisnął na gałęzi, na ugoni i pac spadnoł na ziemie. Czy to prawda, czy brechnia, nie wiem. Dziadziu mówił, ży zastrzelił bizioła i chapnoł za niegu trochu dużu gilajzów. Ni ma na całym świecie nijakiego bizoła, pewno dziadziu zabił ustatniegu... Czy to prawda, czy brechnia, skąd mnie to wiedzieć?

Tak sobi żyli, aż jednegu razu pod poduszeczkom dziecka, w kołysce, babcia znalazła hadziukę (żmiję) – joj wracamy si nazad du domu – jojkała babcia, ni ma mowy – te jojkania dziadku kwitował...

Naraz wrócił dziadziu zy ruboty i mówi: Tekla, wracamy si du domu – ty rychtuj wszystku du drogi, a ja hulam za biletami. Zostawili tę Hamerykę, nie-Hamerykę i bez wielgą wodę nazad du domu płynęli, du Italji. Zy Italji babcia z dziećmi du domu w Trościańcu jechała zy swoim tatem, a dziadziu poszed sobi na wojaczkę du... chalera, jak jemu byłu?...Wiem – du Hallera.

Tak opowiadali, a ja tak zapamiętałam. To jednakowoż nie może być prawda – to znowu brechnia, w spisie hallerczyków dziadzia ni ma... Hm, to w takim razie po co on sobi szedł na taki długi spacer aż pod Kijów... Nijak mnie to zrozumieć – ja nie ka pe wu. Wrócił du domu we fest fajnym ubranku, dorobił sobi resztę dzieci i żył, jak mógl – polując, tkając i wiodąc dolę pasiecznika. Babcia – troszku zielarka, troszku akuszerka i troszku czarownica – odczyniała uroki, spalała różę, robiła jakieś likarstwa. Czy to może być prawda?... Ta dzie! Brechnia! Jedna wielga brechnia!

Jednakowoż miała babcia jakieś mazidło, którym kleiła rodzinę. Wszystkich z Pełechów ciągnęła do kupy. Michał (1906), Hańka (1909), Józku (1910), Helka (różne źródła różnie mówią), Jašku (1920) i Stach (1924). Michał i Hańka jednego dnia brali śluby – Michał z Marią Domarecką, a Hańka z Józefem Kłakiem. Pożenili się, pobudowali, poszli na swoje... Ciotce Hańce urodziła się Mania i Mila, wujkowi Michałowi Józio, Jasiu i Stefcia. Reszta Pełechów dorastała do żeniaczki... Życie toczyło się spokojnie. Polak z Rusinem (mój dziadek pochodził z Rusinów, lecz wszystkie swoje dzieci chrzczył w kościele rzymskokatolickim) byli sobie dobrymi sąsiadami.

Zdarzyłu si czort machnął chwostem...

Kończył się festyn w Kozakach... Jak grom z jasnego nieba – wojna! Ksiądz Michał Krall odprowadził kozaczańskich chłopaków, którzy otrzymali karty powołania, na miejsce zbiórki, do Złoczowa.

Na wojenną nutę zaczęło się toczyć życie w Kozakach i w okolicy... Przyszli Niemcy. Kopalnia chodzi i zaczynają gdzieś spod ziemi pokazywać się banderowcy. Poszli Niemcy, przyszli moskale, bandera się rozrasta. Przyszli Niemcy, w Kozakach zrobili getto, kopalnia chodzi, banderowcy pokazują się wszędzie. Jednej nocy od strony Huty Pieniackiej niebo czerwone. Spalili całą wioskę.

Kozaczanie pilnują swojego kochanego skrawka polskiej ziemi, cudzy nazywali Kozaki polskim gettem. W dzień i w nocy dookoła wioski stoją czujki. Od czujki do czujki idzie odcinkowy dowódca warty. Jednej nocy Jaśku Pelech dochodzi do czujki, gdzie wartowali Józek Jurcan i Michał Wilk – hasło... parol... Jakichś dwóch wartowników więcej. Kto oni? – To koledzy. Spokojnie Janek, to swoi, a tu od raz kolega mówi – postaw karabin pod drzewo i siadaj! Dwa kroki w stronę drzewa i chodu zygzakami z góry na dół do wioski, do swoich. Żadnego strzału, udało się. Czujka Józka i Michała zdjeta, a przez wioskę dwa bandery przepędzili pod brzuchami koni. Alarm! Na trwogę z dzwonnicy kościelnej biją wszystkie dzwony, na samym skraju wsi stoi pusta chata, z której Żydzi gdzieś uciekli. Podpalic tę chatę, oświetli drogę do wioski. Chata się pali. Ludzie walą do kościoła, tam szukają schronienia w nieszczęściu. Idzie zatrata. W Złoczowie ors komendantem jest Sawicz, on pomoże, lecz jak mu dać znać... Drogi odcięte. Przez debrę spróbuje przebić się Gostyński, dosiada karego konia, a ksiądz już jest, błogosławi go na drogę. Nadziejo Kozaków, ruszaj z Bogiem. We wsi co rusz to strzały, to krzyki „budety horiły! Wyrubajimo usich lachiw!”. Tak minęły około trzy, cztery godziny, aż dał się słyszeć narastający warkot silników, jakieś krzyki – parole, parole, parole. Niemcy samochodami pancernymi, czołgami wjechali do wsi, niosąc ocalenie. Kopalnia dostaje karabiny, żeby miała czym bronić się w razie potrzeby. Dowództwo AK dozbraja chłopców ze Strzelca. Radość, nadzieja. Przetrywamy. Zapłacił za to Sawicz. Z rozkazu Hitlera został powieszony we Lwowie, głową do dołu. Siedem dni wisiał, a nad nim tabliczka – tak kończą zdrajcy narodu niemiec-

kiego. Komendancie Sawicz, wspomina o Tobie stara już baba ze wsi Pyrzany, by podziękować Tobie za uratowanie życia tym, z których wyszła, i tym, wśród których rosła. Niezapomnianym! Kochanym! Kozaczanom!

Ano, wracam do Pełechów. Poszli Niemcy, przyszli Moskale. Złapali Stacha – wywieźli. Był w Peczorze, gdzie zrobili go rzeźnikiem reniferów. Krwi ubijanych zwierząt mógł pić, ile chciał. Pił i, jak mówił, to go uratowało.

Jednego razu Jaśku (mój tato) wracał do domu, a tu jakieś obszarpańce nie chcą go puścić. Popytali po rosyjsku, on im potłumaczył po polsku, za jakiś czas zaprowadzili do chaty. Tam zastał już lepiej ubranych, też ruskich. Okazało się, że zakwaterował się u Pełechów sztab partyzantki gen. Kołpaka (Kowpaka). Tato znał dobrze rozległy teren i umiał czytać mapy. Zechcieli go do razwiadki. Dostał pozwolenie ze sztabu AK, zapisywali go do partyzantki.

– Iwan – dyktuje ruski swojej sekretarce.

– Nie – mówi tato – Iwan to ty, ja Jan.

– Pishi jemu: Jan.

...i poszedł tato, jak mówiła babcia, w partyzany.

W 44 roku ruskie od Kowpaka dali mojemu tatulowi, a on był w AK, fest fajną robotę. Zatrudnili Jana, nie Iwana, żeb jich pu tamtych ukulicach prowadził – dzie jaki most, dzie jaka polana. Poszed on sobie z tymi ruskimi turystami nad rzekę i chciał si skąpać, to wlaż du wody, a tu odraz jak ni błysnełu, jak ni hrymnełu i kur...a most si wali. To on chciał na drugą stronę – a tu, jak zaczął kropić, zy jednej strony pypeszy, cykaemy, rykaemy – a z drugij jakiś maszyngiwery, a ud góry masterszmity... Taj si zrobił taki młyn, ży on si schował pod wodą... i tu znowuż francowaty zbieg ukuliczności...

Jakby tak tatulo z tej wody ni pukazywał głowy, tob si wtopił, a jakby si wtopił, tob jegu ni wyciągnęli. No on nie chciał si wtopić i wystawił głowę, a jak no ją wystawił, tak go za nią chapnęli i wyciągnęli z tegu ukropu. On już taki szczęśliwy był i do nich gada:

– Danke ja w Kozakach zostawił, co ona bidna tam robi... Ronczki całuji panam giermanam, śliczno dzieńkuje panam esmanam. Kape wu – Idę na rande wu.

– A na masz tobi, znowuż zbieg ukuliczności...

Jakby giermańcy po polskiemu rozumieli, tob mojemu tatka, Jašku jemu byłu, od raz puścili du chaty, ali oni cali nic a nic jegu nie zrozumieli. I przyszed taki jeden – joj, joj, jaką on miał straszni cieńżką reńkę – tatku mnie opowiadali – szturknął tatka pu głowi, przyłożył du dupy maszyngiwera i zapędził du kupy partyzanów.

Jakby tak ten frycku du tej kupy tatka nie wpędził – tatku by nie mógł dostać Krzyża Partyzanckiego – a tak dostał... Nu jakby tak ten frycku, na ten przykład, był trener pływakki, tob mógł mój tatku, odraz mógł dostać karte pływaką, a tak ni dostał...

Jedźmy dalej.

W tej kupi, co to do niej tatku doszłusował – joj, joj – jegu turysty i czort wi kto – jakieś obszarpańce... Oni na mojego tata wybałuszyli oczy jak na wariata, a on nogi za pas i śmignął w las.

Hast du gewidziała mamu? Ja wariat – pomyślał.

Znalazł swojego rowera, co jegu w lesie zostawił, skoknoł na niego i co sił w nogach pedałuji na Kozaki – byłu jak stąd du Winnik... no... już był i niedaleczko... – zbieg ukoliczności...

A masz babu harbuz – giermańcy!

Rozpędził rowera. – Cholery w bok – krzyknął. Z fasonem jich minął, a tu wo! Jak zaczni coś tarachkotać za jegu plecami, tak si on straszni nastraszył, ży hycnął z rowera i si du ziemi tak fest przytulił i tak fest si chciał pod nią zapaść... no si nie zapad...

Przyszed du niegu jakiś durnowaty narwaniec i drze mordę – Pan de Roch! Pan de Roch! – i po dupi karabinem biji.

Tak mój tatku zerwał si na swoje własne nogi i jemu gada – Tobi si pumykiciu! Ty durnowaty pomidor! Ty mnie zy kimś poputał! Ja Jašku! Ta ja Jašku Pełech. Rozumisz, frycku chulerski – krzyknął wkur...ny mój tatku.

Naraz zajichała ciężarówka i już tatku nie spamiętał, co krzyczeli, no choć dobrze, że pukazywali na migi (tatku był taki miglanc, co w lot łapał język migowy).

To prawda – ni załapał języka, no za to załapał zy cztery kopniaki i w lot si znalazł na samuchodzi. Garbaty los mujegu tatka był... bo – jakby giermańcy

znali teren tak jak on, tob jegu zawieźli du babcinej chałupy w Trościańcu Małym, a ży nie znali, to jegu zawieźli du zakonnic, du Lwowa. Odkryli plandekę i jakiś jedyn z krzykim du tatka.

– Rau srau, srau, srau, srau!

– Ta dzie w samuchodzi? Niecee! Ta dzie w auci? No ja już na ostatnich nogach stojim – tatku tłumaczy.

Palcem i kopniakiem, żeb sobi palca ni zwichnąć, pukazał germański zakonnik tatkowi, dzie ma iść, a tam, joj! Ludzi procesja, jak na odpuści w Podkamieniu!

Daleku zobaczył tatulu swojego kompana (Władysława Stojanowskiego – Władzia), a ży on był troszku za daleczku, to tatku za nim troszku krzyknał:

– Władziu! Jak moje bendom mnie kiedyś szukali, to jim powiedz, ży my si tutkaj wo widzieli!

A tu od raz – jak si na niegu zwalili, całą bandę, jakieś lwowskie batiary, jak mu spuścili manto, to aż drańcie lecieli, aż poplątacji serca dostał i no sobi pumyślał – Mamuńciu złota, czegu ja taki bidny... – i si jemu urwał film.

Jak doszedł do siebi, to był cały zlany...

Potem mu jeszczy raz chlusnęli lodowatą wodą, po cyferblacie.

– Łachy pod pachy i du lochu! – Pu drodzy zabrali tatulowi jegu papieiry, troszku dupereli i jegu dumę – srebnegu kieszonkowego dzygarka marki Longines zy zamykanym cyferblatem, na fajnym srebnym łańcuszku, a dali mu du reńki jakąś szmatkę i w try miga, biegiem naprzód! Po drodzy głośno krzyczą – Rau srau, srau, srau! – No na to już nijakiej sposobności ni byłu.

W półmrocności wpad tatulu du jakiejś pieczary, a tamkaj już byli insze ludzi. Jedyn z nich, a on miał żółtą gwiazde, pospytuji si tatka – A ty z witki? Pytał jeszczy i za to, i za sio, a jak zobaczył opaskę, co tatkowi podarowali za dzygarek, co mu go zabrali, to tak powiedział. – Ty przeżyjesz, ja pójdę na piasek, na rozwałkę – i potłumaczył tatkowi, jak moży być i co beńdzi... jak beńdzi, jak moży być... On, faktyczni, poszed na piasek, a tatulu trafił du sanatorji i to byłu jegu wielgie szczęści.

Ta sanatoria si nazywała Kacet Wielgiej Róży, filia w Kamiennej Górze (jakby jaki londekznut?... abu Gross-Rosen filia Landeshut?..).



– Tamkaj już były fest dobrze. – Dawali podjeść! – Trzydzieści deka czarnegu chleba były (fakt, tatku mówił, że komiśniak w najbidniejszej chałupi był lepszy), rano i wieczór dwa razy po pół litra czarnej kawy i jedyn raz na dzień chochli zupy, co miała mieć też pół litra, a pół litra miała, jak wynurzała si z kotła.

– No były, jak były. – Fajni ni były... Raz – to nie brechnia, tak mnie tatku gadał – on był już mużułman. Kolegi zaprowadzili go du lazaretu (to chieba taki kościół), a tam zamiast komunii, dawali fenol... Ksiondz tam chodził w białym kitlu, całkim jak naszy dochtory, i on poznał si na tym, że tatku nie beńdzi dobry mużułman, i nie dał mu fenolu, a z wieczora wypchał tatka nazad na blok. Żeb si chłopina zy żalu na placu nie położył, podprowadził go du sztuby ministrant zy tegu lazaretu.

– Tak mój tatulo w tej sanatorji był i był.

Dwa razy tam zafasował po swetrze i po drugim kocu, no ni raz nie mógł si wbić w ten sweter albu sobi pod dwama kocami nogi wyciągnąć. – Inspekcja Czerwonego Krzyża, jak wiatер przelatywała przez bloki – tak jak wiatер przelatywał przez ich ściany. Trzeba było oddawać sweter i koc i sobi dalej cierpliwie na nich czekać... i tak sobi cierpliwie tatulo czekał... a robił tam wy fabrycy łożysk tocznych.

Naraz słyhać jakiś huk, to tu, to tam, coś, gdzieś fest hrymnętu, a i msterszmyty latali jak durne... Jednym rankiem cichu, nijakiej pobudki, nijakiego apela...

– Aj! Waj! – Ja by zapomniala! W kaceci mój tatku miał straszne szczeńści. Jegu kulega, co na niegu na apelu wypadł pięć, wcisnął mu coś du reńki i mruknął – Niech on tobie, Janku, pomoże przeżyć. – Tatulu to-to zacisnął mocno w ręce, coś chrupnętu, no nie wiada co – reńki nijak otworzyć – jak sparaliżowana. Jak si już wrócił nazad do bloku (na sztubę), otworzyła si jegu reńka, a wo, w niej był krzyżyk, cali nie maleńki, no jemu si ramienie złamał... i zbieg ukuliczności...

Jakby tatku nie dostał tegu krzyżyka ud kulegi, tob nie miał mnie co dać, jak ja szła du ślubu, no dostał i mnie jegu dał – duży, złoty, zy złamanym ramieniem. Ja jegu miałam i tyż dałam du ślubu tej mojej córce, co na tatowym zostanie gospodarzyć.

Tegu krzyżyka, jak na cytadeli kwitneli moreli, ja nie jedyn, a dwa razy wozila du miasta, du majstrów, żeb go zrychtowali.

Jeden raz na niegu nie uważała, no w nim paradowała – ho, ho – co to ja takiego ni mam. Jak ja jegu na sobi powieszala, to mnie bylu i radośnie, i cieńzku... Tatku na mnie tak nijak patrzył... Coś za czwartym mojim paradnym wyjściem temu krzyżykowi odpukło ramię. Na drugi raz pojechała ja z nim du majstra. – Zrobił. Wszystkie oglądali – był jak nowy... Położyła ja jegu wy puzdereczku, na podusi z takiej fajnej czerwonej materii, żeb sobi tamkaj leżał. Za jakiś czas zaglądam, czy mnie jegu chto nie dmuchnął? – Nie. Jest. – A! Wo! To co?! – Ramnienie si kupy już nie trzyma. – Ta czego? – Czort go wi! Zy tamtegu czasu wiem, cały on nie chce być. Peńknął na życie mojemu tatkowi i mnie.

Dam jegu mojej Marzence. – Co on u niej beńdzi robił?... – Ja wiem... Ciężkie życie przed tobą, kochana, żeb choć no ty si w nim nie zapotyrykała, bo odnaleźć się trudnowato.

No ja si zbiła z pantaląyku, tak si swoim bogactwem pochwalić chciała. Wracam si du tatka!

– Ta jak? Dzie ty, tatku? – Aha! Jeszczy w kaceci...

– Ni ma apela! – Ni ma apela? – Co? – Wojna si skończyła! – Ta dzie? A, dzie strażniki? – Pouciekali? – Joj! W kuchni – całe kotły brukwianej hulaj-zupki! Ni moży być! Du kuchni! Ali! Wo! – Kulegi, całą hurmą, pchają si du zupy, jedyn pu drugim lizi... Nijakiego sposobu ni wymyśleć, żeb si choć trochu najeść...

A tu, wo! – Ruski tank zajechał, na nim hurma ludzi... Wiwatuja! Śmieja si! Radość! Krzyki! – Koniec wojny! Wy wolni! Swoboda! Niet giermańca!

– Co to znaczy wolność, tatku (widzę cię jak w tumanie i pytam mojej pamięci)?

– Strach, Terenia, strach! Strach się obglondnonć... Strach nogą pewniej ziemi dotknąć... Strach wyjść za druty... Nadzieja pcha do przodu! Kiszki marsza grają, jak cholera. Do swoich! Do swoich wracam, do domu! A na masz tobi babu placek! Sklep – pełnusiańki czekolady! Chulerski los – zamknienty... Joj, joj – jak tam zaliżć? Kumbinuji sobi bidny tatulu, a na masz tobi – idzi ruski zy karabinem.

– Szto smotrisz, szokoład chcesz?

– Da.

– Tak zachadzi!

– Zakryto.

– Nu, jop jewo mać!– karabin z ramienia, kolbą brzęk w szybę – Paża-  
łusta, adkryto!

Zalaz tatulo do tego sklepu i pojad czekulady. Na całe życie mu starczyło. Jak dostał pańskiej, dobrobytu choroby, ledwu na nogach stał, a i nie był jak stać, tak z niego dułu. Mohoryczą si podreperował i to likarstwo lubił. Hajda, du swoich. To pizski, to rowerem, co go sobie znalazł, posuwał zy Kamiennej Góry w stronę domu. Jedzie rowerem bez jakiś most – stop ruskie, rower na samochód, siadaj ty nasz. Nie wsiadł, a na skrawku papieru oddartego z jakiegoś worka napisał: „Jak echo z podziemia odzywam się. Żyję! Czekam na Was – Janek”. Ruskie pojechali, a on... Dobił się do Łańcuta i tam w PUR-ze (Państwowy Urząd Repatriacyjny) powiedzieli jemu, że całkiem niedaleczku mieszka Hania Czerniecka i Kuba (jeśli dobrze zapamiętałam) Mrówczyński. Trafił do nich i z nimi pomieszkiwał. Już był wiadome, zy nasze Kozaczany czekają na transport. Tak i oni czekali na ten transport.

Były kiedyś... siedzi Jašku w sadzi, na ławce pod gruszą... z jakimś Hryniem. Naraz jakieś dwa zamorusane chłopcy doskokneli do nich i od raz puspypytywać zaczęli – Jak si nazywasz, skąd ty, kto ciebi uczył. Jak tato powiedział, że uczyła go siostra Maria Fechner – A to prawda? – spytali i jak jich przywjału, tak jich wywjału. Na drugi wieczór znowu przyszli zy połówką świni, co ją dali Hani, żeb tata doglądała (znowuż połówkę świni ktoś Pełechowi podrzucił, żeb szło mu jak po słonku...), a Hrynia zabrali ze sobą i tyle go widzieli. W pobliżu na Sanie był bród, tam co dnia tata ciągnęła jakaś cholerska siła. Jednego razu stał na brzegu rzeki, a z drugiego brzegu bez wode, z krzykiem – Jašku! – jakieś dwa zapychają w jegu kierunku. – Joj! Taż to Jańcio (Stojanowski) i Michał (Pełech). Zwitali si strasznie serdeczni! Tutkaj wo, blisku, stoi jich transport. Poszli du Hani i już razem doszlusowali do swoich.

Tak zaczęła się ich wspólna droga w nieznanie. Pociąg raz jechał, raz stał. Brakował paliwa. No był na to sposób: kto miał bimber, dawał – litrowa flaszka mału, dwie flaszki jazda.

Dojechali do Trzebini i tam ich chcieli osiedlić w pobliskich dwu wioskach, w których jeszcze mieszkali Niemcy. Trzebab zobaczyć te wioski. Wziął ksiądz Krall pięciu chłopów (Michał Rudnicki, Jantoch Fok Wilk si on nazywał, Michał Kozak, Michał z Wapnicy – tyż Wilk i Jaśku Pełech). Poszli. Ksiądz Krall poszedł sobie do pastora, chłopcy posiedzieli pod kościołem. Wyszedł ksiądz i mówi – Nie będzie o nas pisała historia, że wypędzaliśmy Niemców. Jedziemy dalej.

Gdzie?... Mój tato w PURze w Trzebini zobaczył ulotkę. Pisało na niej: **JEDŹ DZIŚ DO GORZOWA – JUTRO BĘDZIESZ SZCZĘŚLIWY!** Z trudem znaleźli Gorzów – miał jeszcze niemiecką nazwę na mapie – i wytyczyli cel podróży. Gorzów. Dojechali. Nie, tutaj się nie rozładowują. Dalej jazda – Kostrzyn... Pali się to tu, to tam... Kurka wodna – Nazad! A maszynisty nie chcą jechać... Paliwo mamy! Jazda! Dojechali do Witnicy. Rozładowywać się! Z podwózką czekali na nich jakieś fury, m.in. Fabiański Franciszek i Weronika – późniejsza Jurcan – z tatem. W Witnicy nie zostaną. Poustawiały się fury i furki w szyku – po uważaniu, hajda przed siebie! Minęli dzisiejsze Pyrzany, Świerkocin i w prawo, na Okrzę. Joj! Joj! Taż tutkaj taka wielga woda – zawracamy. Trudnowato na wale. Już nie ten szyk, a odwrotny jechał z powrotem. Osiedli w Pyrzanach, w Białczu, w Dzieduszycach – na trochę, zak nie wróca na swoje, du tych swoich bid, co jich tam były a były i wszystkie si tamkaj zostali.

Powiedzcie, że cudów nie ma... Dostali dziadkowie informację, że ich syn Jan nie żyje. Mszę za Jaśka nieboszczyka odprawił jeszcze w Kozakach ksiądz Krall. Dziadzio nie pobrał za syna 150 rubli – babcia nie pozwoliła. Ona wiedziała, że Jaśku żyje – nie czarownica? Tatowa karteluska, że żyje, dotarła do dziadków dużo później... Czy to nie cud?

U Pełechów markotno, Stach przepad jak kamień w wodę. Napisał mój tato list, adresował, jak opowiadał, Iosif Wisarionowicz Stalin, Moskwa, Kreml, a w tym liście prosił, żeby odesłali jego brata, którego zabezpieczyli przed banderowcami, do rodziny... Jak na cytadeli kwitneli moreli to było... – Cudów ni ma, a byli... Stach przyjechał do Pyrzan.

Nikt z Pełechów nie zginął podczas wojny. Pożenili się. Mieszkali wszyscy blisko siebie. Czasem im było źle ze sobą, lecz bez siebie nie mogli żyć. Myślę

o nich często, zawsze bardzo serdecznie... Wszyscy oni dziś na niebieskim paświsku, w stadku księdza Kralla. Wierzę, że kiedy do nich doszłusuję, babcia da mi baniaczek miodu i kwaszonego ogórka, ciotka Hańka miskę pachnącej buraczanki, wujku Michał krzykni na mnie – ty mańkutnyku cholerski – tato mnie zagra na skrzypce, a mama znajdzi mi jakąś robotę. Pędzę do was, kochane Pełechy...

W zaczarowanym świecie, wśród Kozaczan, rosłam... Sadzili barabole, a kopali kartofli, chodzili w mesztach, a to byli pantofli, stawiali drzewko, a to była choinka, a jak w piecu spiekli kiszkę, to na stół kładli kaszankę...

No jak się weselili – to całą niedzielę cała wioska ćmagą popijała mohorycz i śpiewała – „Na Podolu biały kamień...”. A jak płakali, to też wszyscy na kupie i śpiewali – „Serdeczna Matko”.

Wierzę, że gdzieś tam na drugim brzegu rzeki życia czekają na mnie rozśpiewane kozaczańskie swojaki i – razem już – będziemy się weselili w innym, zaczarowanym świecie. Daj Boże szczęście!

Jaśkowa Teresa

Teresa Lesiuk

## **The Pelech Saga or the family story of Teresa Jaškowa**

### Abstract

The history of the Pelech family from Złoczów written in the Eastern borderlands dialect presents the history of the family members in the first half of the 20<sup>th</sup> century. The story shows their life in the East of Poland, then their journey to Brazil to earn a living, their participation in the First and Second World Wars, displacement, migration to the recovered lands and settlement in the village of Pyrzany near Gorzów.

Translated by Aneta Kiper